

„Epoki przechodzą przez ludzi i zawsze jest nadzieja...” – rozmowa z prof. dr. hab. Januszem Małłkiem

Dziękuję, Panie Profesorze, że znalazł Pan czas na tę rozmowę, bo wiem, że mimo emerytury jest Pan ciągle aktywny, nieustannie zajęty.

W zasadzie nie odczuwam, że jestem na emeryturze. W dalszym ciągu pracuję, chociaż w małym wymiarze godzin. Prowadzę zajęcia z historii Skandynawii, bo akurat brakuje specjalisty z tej dziedziny. Chodzę do instytutu, wiem, co się w nim dzieje. Natomiast bezpośrednio po przejściu na emeryturę w 2007 r. pracowałem jeszcze przez kilka lat w Olsztynie, czyli w miejscu, z którego wyszedłem. Prowadziłem wykład z historii Mazur na zajęciach dla socjologów. Ten okres wykorzystałem też na publikacje, sporo moich książek się ukazało, i to – jak mówią studenci – „kręci” mnie, to daje mi satysfakcję, chociaż nie daje pieniędzy. Tylko olbrzymi nakład książki mógłby przynieść znaczny dochód, ale nie to jest ważne. Najważniejsze, myślę, jest to, że coś człowiek po sobie zostawi... I chyba ten okres dobrze wykorzystałem.

Wiemy, że nie tylko praca Pana pochłania, ale również wydarzenia związane ze „sławą i chwałą”. Został Pan w ostatnich latach uhonorowany wieloma prestiżowymi wyróżnieniami¹. Czy wypada zapytać, które z tych odznaczeń miało dla Pana wartość szczególną?

Cóż, wszedłem w wiek medalowy. Mam nawet Krzyż Kawalerski i inne wyróżnienia. Dla nauczyciela na pewno bardzo ważnym jest Medal Komisji

¹ M.in. Złoty Krzyż Zasługi, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Nagroda im. ks. Leopolda Otto (2007), tytuł doctora honoris causa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego (2009), Medal Honorowy Prezydenta Miasta Torunia Thorunium (2017), tytuł Honorowego Obywatela Działdowa (2017), Nagroda im. biskupa Ignacego Krasickiego (2018), Honorowy Członek Towarzystwa Naukowego w Toruniu (2017), Honorowy Członek Stowarzyszenia Absolwentów UMK (2016), Medal Rodła (1988), Medal im. Kurta Obitza (2016), Honorowy Członek Stowarzyszenia Kaszubskiego (2018), Medal Astrolabium (2018).

Edukacji Narodowej. Wymiar sentymentalny mają dla mnie odznaczenia z Warmii i Mazur, ale także toruńskie, na przykład medal honorowy Thorunium. Jest to przyjemne, ale nie wydaje się konieczne. Może człowiek młodszy czułby się bardziej usatysfakcjonowany, doceniony. Natomiast dla mnie teraz, po osiemdziesiątce, szczególnie ważne są książki. Gdy ukaże się publikacja, wiem, że coś z siebie daję, chociaż różne formy uznania też są mile.

Gdy otrzymał Pan tytuł Honorowego Obywatela Działdowa, wspominał Pan w swojej autobiografii, że zawsze cechowała Pana ciekawość: ciekawość świata, ciekawość różnych dziedzin i że warto opublikować książkę nawet dla jednego czytelnika. Jaki to jest etos?

Tak, ciekawość zawsze mi towarzyszyła. Myślę jednak, że dla każdego, kto zajmuje się nauką, jakakolwiek byłaby to dziedzina – nie tylko historia, także na przykład biologia, chemia czy inne – najważniejsze jest zbliżanie się do prawdy. Historyk może dochodzić do prawdy w różny sposób; gdy tworzy prace syntetyczne, próbuje oświetlić jakiś temat, z rozproszonych kawałków stworzyć pewien obraz. Bywa też jakby sędzią śledczym. Podam przykład pewnej mojej pracy przyczynkarskiej. W latach 1718-1720 ukazywało się w Królewcu polskie czasopismo „Pocztą Królewiecką”, którego redaktorem był niejaki Biszel; nazwisko jego pisano też po niemiecku – Büschel, po łacinie – Bisselius. Niewiele o nim było wiadomo. Udało mi się ustalić, że był to toruńczyk, stąd znał i polski, i niemiecki, że jego rodzice mieszkali na Piekarach, byli rzeźnikami. Odtworzenie jego życiorysu było swego rodzaju przygodą.

Obszary Pana badań są niezwykle rozległe. Wymienił wybiórczo: historia Prus Królewskich i Książęcych, historia Reformacji, dzieje Mazurów, historia krajów skandynawskich... Czy Pana zainteresowania badawcze ewaluowały w czasie, czy też jednocześnie śledził Pan i pielęgnował kilka obszarów przez wiele lat?

Trzeba by cofnąć się do początku mojej kariery naukowej. Zacząłem publikować dość wcześnie, mając bodaj 21 lat, choć jeszcze wcześniej podjąłem jakieś próby literackie. Zarzuciłem je, bo chyba zabrakło talentu; w historii raczej lepiej się sprawdziłem... Historia mazurska zaczęła się pod wpływem mojego ojca². Potem moim mistrzem został Karol Górski, niewątpliwie najlepszy

² Karol Małłek (1898–1969) – działacz mazurski, nauczyciel, pisarz i publicysta. W 1917 r., wcielony do armii pruskiej, walczył pod Verdun. W latach 20. i 30. ukończył wiele kursów nauczycielskich, pracował jako nauczyciel i kierownik szkół w Działdowie i okolicach. Pełnił funkcje skarbnika Polsko-Mazurskiego Towarzystwa Ewangelickiego i sekretarza Oddziału Zrzeszenia Ewangelików Polskich w Działdowie, sekretarza Związku Nauczy-

XX-wieczny znawca dziejów Krzyżaków w Polsce... i jego uczeń, Marian Biskup. Kończąc studia, miałem pisać o zniesieniu biskupstw pruskich, pomezjańskiego i sambijskiego w 1587 r., ale ostatecznie pisałem o Prusach Książęcych.

To był temat pracy magisterskiej?

Tak, ale potem jeszcze długo byłem pod wpływem Karola Górskiego. Doktorat dotyczył również Prus Książęcych, a habilitacja – porównania dwóch części Prus: Królewskich i Książęcych, procesów rozchodzenia się, schodzenia itd. Miało to być nowe spojrzenie na te zagadnienia, bo jak wiadomo o to chodzi w pracy habilitacyjnej, a nie tylko o umiejętności warsztatowe. I tak zająłem się historią Prus i Pomorza, naturalnie z uwypukleniem Reformacji. Karol Górski miał silną



Fot. 1. Student Janusz Mallick.

cielstwa Polskiego Szkół Powszechnych i sekretarza Związku Mazurów, a od 1935 r. prezesa nowego Związku Mazurów w Działdowie. Publikował wiersze, artykuły, felietony, m.in. w „Gazecie Mazurskiej” i „Kalendarzu dla Mazurów”. Podczas okupacji ukrywał się przed gestapo, w okolicach Warszawy, jako Jan Michał Skoryna. Zorganizował tajny Mazurski Instytut Naukowy, którego celem było przygotowanie materiałów naukowych dotyczących powrotu Mazur do Polski. W 1943 r. reaktywował Związek Mazurów, w 1944 r. referował problemy Mazurów na posiedzeniu PKWN. W latach 1945–1948 był prezesem Instytutu Mazurskiego w Olsztynie, a w latach 1945–1950 oraz 1957–1960 kierownikiem Mazurskiego Instytutu Ludowego w Rudziskach Pasymskich. Był członkiem PSL, PPS i PZPR – w 1950 r. pozbawiono go członkowstwa, a w 1956 r. przywrócono. Wybrane publikacje: *Jutrznia na gody* (Warszawa 1931), *Mazurski śpiewnik regionalny* (współaut. A. Kant, Wąbrzeźno 1936), *Plon czyli dożynki na Mazurach* (Warszawa 1937), *Wesele mazurskie* (Warszawa 1937), *Jest dąb nad Mukrem* (współaut. A. Jarecki, Warszawa 1956), *Opowieści znad mazurskiego Gangesu* (Warszawa 1964), *Z Mazur do Verdun. Wspomnienia 1890–1919* (Warszawa 1967), *Interludium mazurskie. Wspomnienia 1920–1939* (Warszawa 1968), *Z Mazur do podziemia. Wspomnienia 1939–1945* (Warszawa 1970), *Polskie są Mazury. Wspomnienia 1945–1966* (Warszawa 1972, pośmiertna nagroda „Polityki”). Zob. także: <https://olsztyn.wyborcza.pl/olsztyn/7,48726,24703841,nawracanie-mazurow-na-polakow-jak-to-sie-skonczylo.html>

orientację katolicką, ale bardzo przeżył II Sobór Watykański i chyba częściowo zmienił poglądy. Mówił: „Pan jest z Mazur, z rodziny ewangelickiej, niech pan



Fot. 2. Doktor Janusz Mallek.

pisze...”. A potem „wyskoczyła” Skandynawia, w 1966 r. Byłem po doktoracie, a nie miałem jeszcze 30 lat i dzięki temu dostałem stypendium rządu norweskiego...

Ale „Historia Norwegii” Pana autorstwa dopiero w ubiegłym roku się ukazała...

No właśnie, do tego wróć. W uzyskaniu stypendium pomógł mi też trochę profesor Tadeusz Cieślak. I tak pojechałem do Norwegii na rok. Nauczyłem się tam języka – miałem ok. 15 godzin lekturatu w tygodniu, a egzamin wyglądał poważnie, bo był nagrywany. Recenzent oceniał słownictwo, fleksję, wymowę. Ocena była więc obiektywna. Potem wyjeżdżałem jeszcze kilka razy, dzięki profesorowi Ole Selbergowi. Ukazał się teraz

jego słownik polsko-norweski, który ma ponad 1200 stron... W międzyczasie zajmowałem się Prusami, a Skandynawia ciągle czekała, bo trzeba było zbudować warsztat. Chociaż napisałem parę artykułów: o chłopach w Norwegii, o zgromadzeniach parlamentarnych. Wydałem też książeczkę Marcina Kromera *Historia prawdziwa o przygodzie żalostnej księżniczki fińskiej Jana i królowny polskiej Katarzyny*. Ukazały się nawet dwa wydania, tej – można zażartować – pierwszej historii Szwecji. Podejmowałem więc prace małe, przyczynkarskie. Dopiero będąc na emeryturze wydałem zbiór studiów *Scandinavia i Historię Norwegii*. Jednak nie zrobiłem wszystkiego, bo ten tom 1500-stronicowy doprowadza dzieje Norwegii do roku 1814. Panie Szelągowskie



Fot. 3. Red. Tadeusz Willan wręcza Januszowi Mallkowi nagrodę czasopisma „Warmia i Mazury” (1985).

uzupełniły wiek XIX i XX³, ale powinienem wszystko napisać. Chyba zabrakło sił, niemniej dobre i to.

Historia Reformacji jako temat Pana badań zaistniała już w związku z historią Prus, ale z pewnością jest dziedziną szczególnie ważną w Pana dokonaniach.

Jeśli idzie o Reformację, wywodząc się z rodziny ewangelickiej, miałem przewagę nad kolegami katolikami: wiedziałem więcej. Religii uczył mnie ks. Wittenberg⁴. Był świetnym katechetą dla dziecka. Ważne też były relacje z moim bratem Ryszardem, pastorem. On studiował na Wydziale Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego – wtedy jeszcze taki wydział był, a pracę magisterską pisał u Oskara Bartla. Miałem też osobiste kontakty z profesorem Bartlem, nawet Karol Górski kierował mnie do niego na konsultacje, gdy byłem jeszcze studentem. Dowiadywałem się czego, gdzie i jak szukać...



Fot. 4. Ewa i Janusz Małkiewicz w dniu ślubu (1969).

³ G. Szelańska, K. Szelańska, *Historia Norwegii XIX i XX wieku*, Warszawa 2019.

⁴ Ks. Otton Wittenberg (1894–1967) – duchowny ewangelicki, ukończył studia teologiczne w Lipsku; w latach międzywojennych realizował wizję Kościoła ks. bpa Juliusza Burschego jako wikariusz w Warszawie i proboszcz w Żyrardowie; po wybuchu wojny aresztowany i osadzony na Pawiaku; po uwolnieniu pracował w elektrowni. Po wojnie rozpoczął pracę duszpasterską na Mazurach (Pasym, Dźwierzuty, Nowa Wieś, Nowy Dwór, Jedwabno, Ruda). Zmarł w Gdańsku.

I ja miałam szczęście słuchać wykładów profesora Oskara Bartla na UW. Czy Profesor pomagał Panu dotrzeć do źródeł, czy też sugerował tematy nymagające badań?

Raczej przychodziłem przygotowany, z konkretnymi pytaniami, ale wiele zyskałem. A szczególnie owocnym okresem w pracach nad Reformacją stały się lata 80. W 1984 r. byłem w Berlinie na stypendium. Wówczas profesor Hartmut Boockmann zapoznał mnie z profesorem Heinzem Schillingiem i zostałem wprowadzony do zarządu Verein für Reformationsgeschichte. Znalazłem się tam obok Niemców, Amerykanów, Francuza. To bardzo poważne gremium i ma kilka organów. Wydaje czasopismo „Archiv für Reformationsgeschichte” w języku angielskim i niemieckim, dalej: „Archiv für Reformationsgeschichte/Literaturbericht”, zamieszczające 800-1000 recenzji z całego świata, potem „Quellen und Forschungen zur Reformationsgeschichte”, czyli materiały źródłowe. Byłem w tym gronie przez 10 lat i dzięki temu wiele mogłem się dowiedzieć.

Duże znaczenie miał też mój udział w pracach Polsko-Niemieckiej Komisji badającej dzieje Kościoła ewangelickiego w okresie faszyzmu i komunizmu. Za namową ks. bpa Janusza Narzyńskiego i ks. Jerzego Gryniakowa włączyłem się w prace tej komisji, byłem jej współprzewodniczącym. Współpracowaliśmy z kilkoma profesorami niemieckimi, m.in. z Martinem Greschatem, poprosiliśmy o współpracę profesora Mieczysława Wojciechowskiego, który wprawdzie nie należy do Kościoła ewangelickiego, ale problematykę dobrze zna, a jego uczeń, prof. Jarosław Klaczek, kontynuuje te badania. Wydaliśmy parę publikacji... Napisałem odrębny artykuł o pracach tej komisji⁵. Byłem też członkiem podobnej komisji działającej w NRD. Tam pełniłem funkcję swego rodzaju sprawozdawcy: informowałem o pracach z zakresu historii Reformacji, które ukazywały się w Polsce. Ten zespół jeszcze chyba działa. Zdarzyły mi się więc okoliczności sprzyjające rozbudowaniu wiedzy z historii Reformacji i Kościoła. Wspomnę jeszcze, iż sprawuję funkcję wiceprezesa Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego w Toruniu (od dwóch lat Toruńskiego Towarzystwa Ewangelickiego), którego celem jest integracja społeczności ewangelickiej, promowanie ewangelicyzmu. PTEw zorganizowało VII Forum Inteligencji Ewangelickiej w Toruniu, w roku 2000.

⁵ Zob. J. Małek, *Etapy i doświadczenia Polsko-Niemieckiej Komisji Historii Kościoła Ewangelickiego w latach 1988–2003*, [w:] Tenże, *Opera selecta*, t. IV, *Reformacja i protestantyzm w Polsce i Prusach (XVI–XX w.)*, Toruń 2012, s. 455–463.

Tyle w skrócie mogę powiedzieć o tematach moich badań. Chociaż trochę mało publikowałem źródeł. Mój Profesor mówił: „Pan nie ma takiej cierpliwości...”. Raczej bardziej interesowały mnie prace analityczne...

Było to bardziej kreatywne niż odkrywanie źródeł?

Źródła wymagają dużej dokładności, precyzji, pracy wręcz zegarmistrzowskiej. Dlatego są niewdzięczne, ale bardzo ważne, bo bez publikacji źródeł historyk byłby bezbronny. Muszę powiedzieć, że to było pewną moją słabością, chociaż dwie sprawy rozpocząłem, jednak nie ukończyłem w pełni. Jedną jest wspomniana już „Pocztą Królewiecką”, druga gazeta w dziejach Polski. Należałoby zrobić edycję krytyczną i zebrałem już dość dużo materiału do tego, ale wiele jeszcze trzeba dopracować, rozszyfrować osoby... jest tam historia Europy w ciągu 2,5 roku...

...skupiona jakby w soczewce...

Właśnie tak. I w Toruniu mamy jedyny zachowany egzemplarz tej gazety. Dziś już zeskanowany, na pewno nie zaginie.

I nie pojawił się dotychczas badacz-konkurent, także zainteresowany tym tematem?

Nie, chociaż współpracował prof. Wojciech Polak, staraliśmy się nawet o grant, bez powodzenia. Taka edycja wymagałaby dużych środków. Natomiast drugą sprawą, o której warto tu wspomnieć są listy Jagiellonek, głównie Zofii Jagiellonki, siostry Zygmunta Augusta, która była księżną brunszwicką. Część jej korespondencji została opublikowana w XIX w. przez Aleksandra Przezdzieckiego, natomiast część nie. Byłem w archiwum Wolfenbüttel, zebra-



Fot. 5. Ewa i Janusz Małłkowie z córką Małgorzatą (1987).

łem materiały, a ze względu na to, że jestem już starszym panem, zdeponowałem je w Instytucie Badań Literackich w Toruniu, żeby nie zaginęły. Jeśli nie dam rady zająć się tym, może ktoś inny jakoś to zakończy...

Można by chyba powiedzieć, że Pana zainteresowania badawcze nie ewaluowały, tylko nieustannie się poszerzały... Był Pan zauważany, odkrywany przez życzliwe osoby, które Pana wprowadzały w coraz to inne miejsca, relacje... Czy tak?

Tak, to prawda. I preferowałem – jak to określał Wałęsa – ładowanie akumulatorów. Korzystałem z każdej szansy wyjazdu do archiwów: w Getyndze, w Berlinie, w Wolfenbüttel, nie pomijając oczywiście archiwów polskich. Zasada historyka piszącego monografię jest dotarcie do wszystkich materiałów. Tylko wtedy jego wizja będzie zbliżała się do prawdy. To są sprawy niesłychanie ważne.

Jest Pan wybitnym historykiem. Zdaniem profesora Jacka Wijaczki, jednym z najbardziej rozpoznawalnych historyków polskich na zachód od Łaby.

On to napisał?

Napisał to w przedmowie do „Innych szkiców pruskich”.

Ach, tak...

Ma Pan ogromny dorobek w pracach międzynarodowych. Potrafił Pan mobilizować polskich i niemieckich badaczy do wspólnej pracy, chociaż temat był pełen napięć – pełen napięć narodowościowych, politycznych. Domyślam się, że w wielu momentach potrzebna tu była i odwaga, i niestereotypowe podejście.

Znowu przywołałbym tu mojego mistrza Karola Górskiego. Uważał on, że polska nauka historyczna nie może odciąć się od Zachodu. Była to postawa z jednej strony pozytywistyczna, bo praktyczna, a z drugiej i romantyczna, bo patriotyczna. Nie oznaczało to, że rezygnujemy ze źródeł rosyjskich czy radzieckich, bo część tamtych badań społecznych, gospodarczych jakieś wartości miała, pominąwszy sprawy ideologiczno-propagandowe. Zresztą takie odcięcie przez ponad 40 lat PRL nie byłoby możliwe, ale Zachód był dla nas niesłychanie ważny. Tam pojawiło się wiele nowych pomysłów, jak tradycja francuskiej szkoły Annales, jak mikrohistoria, to znaczy historia domu, budynku, generacji, które w nim mieszkaly. Nauka amerykańska przecież wyszła z zachodniej Europy i dysponuje ogromnymi możliwościami, aby zgromadzić uczonych z różnych stron świata, aby prowadzić kosztowne badania. Przyjrzyjmy się chociażby czasopismu *Renaissance Historical Review*. Tak więc ważne było podtrzymywanie kontaktów z innymi ośrodkami badawczymi, a najbliżej znajdowali się Niemcy. Profesor Henryk Łowmiański zawsze podkreślał, że ich warsztat badawczy był niesłychanie precyzyjny, dokładny. Z kolei Francuzi

wyróżniali się polotem, Anglicy – pewnym poczuciem humoru w pracach historycznych. Nam chodziło też o to, aby nie zamknąć się w historii Polski, a szukać płaszczyzny porównawczej, chociażby w historii parlamentaryzmu polskiego i angielskiego... Trzeba powiedzieć, że koledzy niemieccy też uczynili w kwestii wspólnych kontaktów sporo dobrego, nawet NRD-owcy, chociaż byli o wiele bardziej uzależnieni politycznie niż my. U nas dość swobodnie, od biedy, można było zajmować się historią do XIX wieku. Gorzej ze stosunkami polsko-rosyjskimi, z wiekiem XX. Ale i dawniejsze czasy bywały kontrowersyjne dla cenzury. Ja pisałem o Prusach, które przestały istnieć, więc cenzura zastanawiała się, czy ten wyraz może znaleźć się w tytule. Generalnie radziliśmy sobie nieźle nawet w latach 50. Obowiązkowe odwołania do klasyków marksizmu i leninizmu umieszczano na pierwszej stronie, a potem „szedł” tekst normalny.

Prawdę mówiąc dopiero jako samodzielny pracownik naukowy w pełni doceniłem wartości, które zyskałem dzięki asystenturze u Karola Górskiego. Profesor był więźniem oflagu w Woldenburgu, a jednak utrzymywał kontakty, chociaż chętniej z Francuzami – mówił biegle po francusku, wygłaszał wykłady w Wielkiej Brytanii... Podobną postawę przyjął profesor Marian Biskup.

I dzięki tym autorytetom udało się ominąć w PRL produkowanie historii Prus nacechowanej określonymi postawami politycznymi i ideologicznymi?

Tak, w dużym stopniu, chociaż zrozumiałe, że prace naszych poprzedników były bardziej „patriotyczne” i w moich wcześniejszych publikacjach też tę skłonność widać. Później moje spojrzenie stało się bardziej zrównoważone, bardziej pogłębione i – jak sądzę – bliższe rzeczywistości. My, historycy polscy, mamy tę przewagę nad historykami niemieckimi, że operujemy językiem niemieckim, w nim czytamy.

A oni nas nie czytają.

To są wyjątki. Mamy kilku kolegów, którzy opanowali język polski, na przykład profesor Hans-Jürgen Bömmelburg.

A czy tłumaczą nasze prace?

No, rzadko.

To Pan pisze w języku niemieckim

Nie tylko, staramy się publikować po angielsku, po francusku. Jest to, powiedziałbym, promocja polskiej nauki.

Czyli innego sposobu tej promocji, poza publikowaniem w językach obcych, na razie nie ma...

Zdarza się. Zostałem na przykład zaproszony do Moguncji, z wykładami na semestr.

Ale nie wykładał Pan po polsku.

No nie, ale miałem też ćwiczenia z historii Polski. Prowadziłem je w ten spo-



Fot. 6. Profesor Janusz Mallek wygłasza referat na sesji naukowej w Kościele Ewangelicko-Augsburskim w Olsztynie (1997).

sób, że studenci czytali *Historię ustroju Polski* Stanisława Kutrzeby po niemiecku i w uzupełnieniu tłumaczyli pewne teksty polskie XVI-wieczne. Mieliśmy więc na tych zajęciach trochę paleografii, żeby odczytać imiona i nazwiska zapisane tą dawną czcionką polską, trzeba było sięgnąć do polskiego słownika biograficznego.

Czy była to duża grupa? Miał Pan wielu słuchaczy?

Na tym seminarium było ok. 15 osób, a na wykładzie często i 100 osób. Miałem przygotowany tekst niemiecki, ale nieraz musiałem od niego odbiegać. Trzeba było też odpowiadać na pytania. Byłem osłuchany z językiem niemieckim – z Mazur.

Popularyzowanie historii Polski za granicą to z pewnością trudne zadanie.

O dziwo, udało się cudzoziemcom, Normanowi Daviesowi. Co Pan o tym sądzi?

Przez wiele lat czytelnicy anglojęzyczni, Amerykanie, Brytyjczycy czy Australijczycy, którzy interesowali się historią Polski, chociaż nie było ich zbyt wielu, mieli do dyspozycji podręcznik emigranta, profesora Oskara Haleckiego *History of Poland*, a Norman Davies to Walijczyk, nie Polak, więc spojrzenie ma inne. Patrzy, powiedziałbym, z dystansu. Jego publikacje są bardzo ważne z punktu widzenia naszych narodowych interesów. Rozprzestrzenia się wiedza o Polsce, bo nakłady jego książek są znaczne, chociażby *Europy* czy kilka razy wznawianego *Bożego igrzyska*. Sam wspomina w przedmowach, że spotyka się zarówno z ciepłymi, jak i krytycznymi opiniami.

A Pana opinia?

Moja opinia, doceniająca olbrzymi zakres jego prac, jest jak najbardziej pozytywna. Davies popularyzuje wiedzę historyczną, życzliwe spojrzenie na naszą historię nie przesłania mu różnych naszych słabości i wad. Na wiele tematów ma świeże i odważne zdanie. Weźmy chociażby jego spór z badaczami żydowskimi w Stanach Zjednoczonych na temat Holocaustu czy polskiego antysemityzmu. Davies niuansuje tę problematykę, mówi o wszystkich ofiarach II wojny światowej, o Żydach, ale również o Rosjanach, Polakach, Niemcach, choć naturalnie Holocaust pozostaje poza dyskusją.

Ciekawa jest lektura jego książki *Myśli wyszukane*, w której mowa o różnych słabościach i Polaków, i Brytyjczyków.

Można dyskutować z badaczami, którzy wytykają mu pomyłki, na przykład jakiś błąd w dacie. Przy obszernej faktografii może się to zdarzyć. Niektórzy znów nazywają go kompilatorem. Cóż, żeby tak kompilować, trzeba mieć olbrzymią wiedzę i własną koncepcję.

Bardzo ciekawe spojrzenie na Europę daje jego książka *Zaginione królestwa*. Wielkie Księstwo Litewskie, Prusy, Galicja, Aragonia – to przywraca historii Europy pewne proporcje, pewną zagubioną równowagę.

Może pokazanie Polski też jest ważne dla tego przywrócenia równowagi europejskiej...

Podręczniki historii powszechnej bazowały przeważnie na historii Francji, Anglii, Rzeszy. Rosję uwzględniano jako mocarstwo, ale ogólnie rzecz biorąc wylaniała się historia tylko wybranych miejsc. Ile my na przykład mamy wiedzy o Rumunii?

Z pewnością niewiele. Raczej standardem stała się historia ważnych stref wpływów. Szkoda, że nasz sarmatyzm nie promieniował na Zachód – to chyba dobry temat dla historii alternatywnej...

[śmiech] Historia wylania się z różnych poszukiwań.

Wróćmy więc do Torunia. Z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika jest Pan Profesor związany od 1955 r., nie tylko poprzez studia i karierę naukową. Pełnił Pan funkcję dziekana, prorektora, jest Pan honorowym członkiem Stowarzyszenia Absolwentów, którego prace Pan zainicjował i był Pan jurorem konkursu na wspomnienia absolwentów. Co w tej pracy niezwykle obszernej, wieloletniej, dało Panu szczególną satysfakcję, a co wiązało się z pokonywaniem trudności?

Chwyćmy „byka za rogi”: zacznę od satysfakcji. Funkcję dziekana pełniłem przez sześć lat, to znaczy przez dwie kadencje. Rzeczywiście miałem przed sobą wyzwanie jako pierwszy dziekan nowego Wydziału Nauk Historycznych.



Fot. 7. Profesorowie Janusz Tondel i Janusz Mallek.

Kiedy wydzieliliśmy się z Wydziału Humanistycznego, mieliśmy tylko historię i archeologię, potem dołączyło bibliotekoznawstwo. Trzeba było się starać o ponowne zgody Centralnej Komisji na uzyskanie praw doktoryzowania i habilitowania. Udało się to dosyć szybko, również dzięki poparciu prof. Romana Wapińskiego z Gdańska, który wówczas w tej komisji zasiadał. Od 1 stycznia 1993 r. pełniłem tę funkcję, a już po kilku miesiącach mieliśmy wspomniane uprawnienia. W tym pionierskim okresie moją dewizą była wielokierunkowość, wieloprofilowość wydziału. Udało mi się utworzyć kierunki historii sztuki, stosunków międzynarodowych. Myślałem też o historii muzyki, ale nie doszło do tego. Mieliśmy sporo studentów. A dziś sytuacja się odwróciła – jest nowa reforma i Wydział Nauk Historycznych znów obejmie tylko historię i archeologię. Historycy sztuki przejdą do Wydziału Sztuk Pięknych, bibliotekoznawstwo do medioznawstwa, a stosunki międzynarodowe są już odrębnym wydziałem. Ale nie patrzmy partykularnie – najważniejsza jest całość uniwersytetu. Te kierunki jednak funkcjonują i znacznie się umocniły, także etnologia, która przed chwilą mi umknęła.

Muszę powiedzieć, że miałem wówczas możliwość decydowania o polityce kadrowej, o rozwoju. Finanse mniej mnie interesowały. Ale dobrze mi się współpracowało z rektorem prof. Andrzejem Jamiołkowskim. Już jako pro-

rektor miałem znacznie mniej możliwości, bo wiadomo, o polityce uczelni decyduje rektor. Pełniłem tę funkcję tylko jedną kadencję. Wcześniej byłem też wicedyrektorem instytutu. Ale to był okres wyrwany z pracy twórczej,

Jednak?

Tak. Absolutnie, bo doba ma tylko 24 godziny, nie da się jej rozciągnąć. Wykorzystywałem ten okres także na wyjazdy zagraniczne, chociażby do *Verein für Reformationsgeschichte*. Byłem członkiem Międzynarodowej Komisji Historii Parlamentaryzmu, byłem konsultantem prezydenta i jednym z wiceprezydentów, przygotowywałem wykłady, referaty, można powiedzieć – małe formy. No, ale nie starczyło czasu na pisanie książek. Trzeba się skoncentrować, żeby coś porządnego napisać.

Owszem, można mówić o pewnych profitach tego okresu dla kariery naukowej – nawiązuje się nowe kontakty, poznaje nowych ludzi, ale naukowiec nie może się w tym utopić, nie może być tylko organizatorem marki. Czasem myślę, że wybitnych uczonych powinno się oszczędzać, powinno się stworzyć im najlepsze warunki do twórczej pracy. Być może w naukach

ścisłych, gdzie wchodzi w grę praca zespołowa, wykorzystanie aparatury, wygląda to nieco inaczej. Jednak w humanistyce praca jest przede wszystkim indywidualna i dobrą głowę warto uszanować.

Pamiętam, jaki był szacunek dla profesury w latach moich studiów. Profesor to był naprawdę ktoś. Nasi profesorowie przybyli z Akademii Wileńskiej, z Uniwersytetu Jana Kazimierza ze Lwowa. Pani Zan, wnuczka Tomasza Zana, była sekretarką rektora. Pamiętam wielką osobistą kulturę tych osób – pamiętam, jak profesor Władysław Dziewulski, astronom, odnosił się do sprzątającej, do portierki. Patrzyło się z podziwem na skromność, dobroć, brak jakiegokolwiek arogancji.



Fot. 8. Prof. dr. hab. Janusz Mallick – prorektor UMK (1999-2002).

Z tego, co Pan mówi, wynika, że obcował Pan ze szlachetną tradycją akademicką. Czy ona jeszcze trwa?

Obawiam się, że dużo się zmieniło, chociażby w związku z rozrostem uczelni. Kiedy ja studiowałem, to była malutka uczelnia, zaledwie 1300 studentów, a teraz punkcie szczytowym było ponad 40 tys., obecnie ok. 25 tys. – to są różnice kolosalne. Wtedy myśmy prawie wszyscy się znali. Profesorowie zapraszali nas na wycieczki, na herbatę, na imieniny, a już asystentów bez wyjątku. Pamiętam, jak u mego mistrza na imieninach panie profesorowe Konradowa Górską, Karolowa Górską, Marianowa Gumowską rozmawiały po francusku przy swoim stoliku. Myśmy to uważali za snobizm, a one się po prostu cieszyły, że mogą się spotkać i porozmawiać w języku, którego się uczyły w młodości. Dzisiaj mam na te sytuacje inne spojrzenie. Cóż, zupełnie inaczej wyglądał kontakt studenta z profesorem, gdy na seminarium były tylko cztery osoby....

Czyli był to kontakt studenta, asystenta z autorytetem nie tylko naukowym?

Na pewno. Kiedy byłem asystentem, niewiele mówiłem, raczej siedziałem cichutko i słuchałem.

Ale Pan chłonał...

Właśnie tak. I to, co zapamiętałem, przydało mi się wielokrotnie jako wiedza z nauk pomocniczych czy jako obycie w kontaktach międzynarodowych. Chociaż mówiono też, że była to szkoła cechowa. Może jej dziś czasami brakuje. Owszem, nosiło się listy profesora na pocztę czy odkurzało książki...

...jak to w cechu... tak sympatycznie wspomina Pan młodość, więc chciałabym zapytać jeszcze o lata dorastania. Jest Pan absolwentem liceum pedagogicznego. Co dała Panu ta szkoła?

Były to lata 1951-1955. Rodzice znajdowali się w trudnej sytuacji. Matka pracowała jako nauczycielka w Krutyni, ojciec na szczęście był na emeryturze – 200 zł wynosiła – a nie w więzieniu, jak kilku jego kolegów. Do zesłania można było to porównać. Będąc dzieckiem nauczycieli, znalazłem się w tej szkole, w Mrągowie, bo ona zapewniała jakiś zawód. Mieszkalem więc przez 4 lata w internacie. Pokój wielolóżkowy, dyscyplina wojskowa: poranna gimnastyka, apele, dyżury i stalinowskie metody wychowawcze – wyjazdy na żniwa, wykopki itp. Wszyscy obowiązkowo byli członkami ZMP, nosiliśmy czerwone krawaty. Na zebraniach trzeba było składać samokrytykę, jeśli zdarzyło się jakieś przewinienie albo gorsze wyniki w nauce. Miałem funkcję protokolanta. Teraz to Koreę Północną przypomina. Ale byliśmy młodzi, umieliśmy się śmiać. Chętnie śpiewaliśmy, również piosenki ludowe, bo folklor był

mile widziany. Uczniowie stanowili prawdziwą mozaikę: Kurpiowie, Warmiacy, Mazurzy, filiponi. Przetrwali przyjaźnie.

Kształcono wtedy nauczycieli wszechstronnych. Czy i Pan uczył się gry na skrzypcach?

Oczywiście. Równolegle ze stalinizmem otrzymywaliśmy rzetelną wiedzę od świetnych pedagogów. Historię wykladał były senator Rzeczypospolitej, języka polskiego uczył Roman Chromiński z Liceum Krzemienieckiego, więc literatura narodowa, szczególnie romantyczna, była dobrze wyłożona. Matematykę też mieliśmy na wysokim poziomie. Tylko nieliczni nauczyciele byli autentycznie zaangażowani w ówczesną propagandę, większość „wkładała tylko kostium”, z konieczności. Wymagano od nas dużo pracy i dyscypliny. To była dobra szkoła charakteru.

Chciałabym się upewnić, czy rzeczywiście Pan zarzucił próby literackie podjęte w czasach szkolnych?

Przebywałem wtedy w kręgu literatów w związku ze środowiskiem ojca. Bywał u nas m.in. Igor Newerly, autor „Pamiętki z Celulozy”, nawet sfilmowanej, utrzymanej w nurcie socrealizmu. Bo takie były czasy. Ośmieliłem się więc i napisałem dramat o uczniowskich przywarach, który jednak nie zyskał uznania mojego polonisty, a potem opowiadanie „Heniek”, związane z mazurskością. I na tym porzuciłem.

Warto dodać, że to opowiadanie zostało opublikowane w czasopiśmie „Warmia i Mazury” w 1956 roku, a teraz można je znaleźć w tomie Pana szkiców „Moje Prusy, moje Mazury”⁶. Polecam czytelnikom – to naprawdę udana miniatura literacka, dokumentująca trudne realia mazurskie.

Dziękuję za tak ciekawe wspomnienia i refleksje. A teraz nieco inny temat. Jest Pan Profesorem ewangelikiem. Pochodzi Pan z rodziny o głębokich tradycjach ewangelickich i to obojga wyznań.

Jeśli idzie o moją rodzinę, ze strony ojca byli to gromadkarze. W I tomie pamiętników *Z Mazur do Verdun* ojciec opisuje, jak odbywało się spotkanie całej wsi, na którym czytano i komentowano Pismo Święte, czytano kazania. Gromadkarze pozostawali w ramach Kościoła i byli przez Kościół uznawani, mimo swojej odrębności.

Można spotkać opinie, że właśnie ruch gromadkarski pielegnował gwarę mazurską i język polski.

Dokładnie tak było. Nawet w Westfalii w kręgach emigracji mazurskiej, gdzie funkcjonowali gromadkarze, odbywały się nabożeństwa polskie, obok

⁶ J. Małek, *Heniek*, [w:] Tenże, *Moje Prusy, moje Mazury. Szkice z dziejów Prus Książęcych, Królewca i Mazur*, Dąbrówno 2009.

niemieckich. A na Mazurach utrwalali oni kontakt z językiem polskim mówionym i pisanym i to na dobrym poziomie. Melchior Wańkowicz w książce *Natropach Smętka* pisze o jednej z takich ciekawych postaci, Reinholdzie Barczu⁷, który został ścięty przez hitlerowców w 1942 r.

Oczywiście gromadkarze działali w ramach Kościoła unijnego, bo parafie ewangelicko-augsburskie próbowali tworzyć dopiero w latach międzywojennych ks. Ewald Lodwich i ks. bp Juliusz Bursche, ale to nie było łatwe.

Natomiast mama pochodziła z rodziny ewangelicko-reformowanej, była warszawianką. Podjęła pracę jako młoda nauczycielka i tak rodzice się poznali.

Pokolenie mego dziadka było bardzo religijne. Ojciec, delikatnie mówiąc, miał bardziej liberalne poglądy, chociaż uczył też religii. Dla niego najważniejszą sprawą były Mazury. Zachowanie ludu.

Ja teraz napisałem książkę *Zanik ludu mazurskiego*.

Kiedy ona się ukaże?

Została przekazana do recenzji, więc chyba jeszcze nie w tym roku.

Mazurzy byli osobnym ludem, który podzielił los Staroprusów. Resztki żyją w Niemczech, z niknącą świadomością swojego pochodzenia. A były nawet plany utworzenia państwa mazurskiego, oczywiście nierealne.

Chyba brakowało elit?

Brakowało. Głównie stanowili je pastorzy. Dopóki Kościół kultywował język przynajmniej w nauczaniu religii, były jeszcze jakieś szanse, ale gdy Kościół poszedł w kierunku germanizacji, pozwolono umrzeć językowi polskiemu na Mazurach.

Czy udałoby się określić, dlaczego plebiscyt w 1920 roku zakończył się klęską i dlaczego pojawiały się trudności w asymilacji Mazurów na Działdowszczyźnie?

⁷ Reinhold Barcz (1885–1942) działacz narodowy i ewangelicki, z zawodu był krawcem. W swoim piśmie „Głos Ewangelijny” drukował utwory autorów polskich, ludowych twórców mazurskich; pismo wzywało do pielęgnowania mowy ojczystej. Wyjeżdżał do Krakowa, Torunia, Poznania, gdzie kontaktował się ze środowiskiem polskim. Propagował polskie słowo drukowane na Mazurach, kalendarze dla Mazurów, powieść Sienkiewicza „Krzyżacy”, wydaną przez Seweryna Pieniężnego. Był obserwowany i szykanowany przez władze niemieckie. W 1938 r. odebrano mu paszport, uniemożliwiając wyjazdy do Polski. Aresztowany tuż przed wybuchem II wojny światowej. Hitlerowcy wytoczyli mu proces, oskarżając o zdradę narodu niemieckiego. Skazany na karę śmierci, został ścięty w berlińskim więzieniu Moabit. [Wg: <http://gazetaolsztynska.pl/492944,100-Twarzy-Niepodleglej-Karol-Bahrke-Franciszek-Barcz-Reinhold-Barcz.html>]

Powtórzę: o tożsamości Mazurów przez wiele lat stanowił język i Kościół. W domach mówiło się gwara. Mazurzy żyli w małych wiejskich społecznościach, dopiero uruchomienie kolei ożywiło kontakty. Ich odrębność stała się dla nich samych kępująca, bo kiedy Mazur musiał coś załatwić w mieście, spotykał urzędnika, który był „prawdziwym” Niemcem. Jeśli ktoś myślał o studiach, jechał do Królewca, a studia w Polsce były trudno osiągalne. Wielu uważało, że opowiadanie się po stronie niemieckiej to jedyna droga awansu społecznego, zwłaszcza że Polska nie była zbyt atrakcyjna dla Mazurów. Najpierw nie miała w ogóle państwowości, a potem obawiano się katolicyzacji i to także odstręczało część ludności. W Drugiej Rzeczypospolitej bardzo niebezpieczne były problemy wyznaniowe. Łatwiej było przyznać Polakom, że Mazurzy luteranie czy ewangelicy unijni są Niemcami.

Dominował więc stereotyp: jeśli ktoś nie jest katolikiem, to nie jest Polakiem. Źródła mówią, że nawet żołnierze armii Hallera traktowali Mazurów jak element obcy.

No tak, brak było wiedzy o specyfice Mazurów. Wańkowicz w swojej książce pokazał, że jest tam jakaś odrębna ludność, ale zabrakło zrozumienia i skutecznej polityki. Natomiast polityka Niemców wobec Mazurów była bardzo skuteczna. Hitler dał im ekonomiczne wsparcie, podobne do dzisiejszego 500+ [śmiech]. Wielu skorzystało z kredytów na domki, żyło im się lepiej, toteż wtedy Hitler miał na Mazurach duże poparcie. Kto wówczas przypuszczał, że dojdzie do wojny światowej, do takich wynaturzeń nacjonalizmu. Germanizacji najszybciej poddawała się najmłodsza część mazurskiego społeczeństwa.

Moim zdaniem ojciec mój słusznie uważał, że należało iść przez mazurskość do polskości, a nie odwrotnie.

Pana Ojciec nazywany był Królem Mazurów. Chciałabym się upewnić, jak rozumiał mazurskość. Czy chodziło o wypracowanie, ujednolicenie mazurskiej tożsamości?

Uważał, że Mazurzy są w państwie polskim i muszą w nim jakoś funkcjonować, z zachowaniem swojej tożsamości, bez nagłej polonizacji. Chodził mu o to, żeby Mazur był traktowany na równi z innymi obywatelami, żeby jakieś urzędy sprawował.

Po II wojnie otworzyła się perspektywa, wydawało się, że Mazurzy zostaną utrzymani w imię polskich interesów, czy nawet racji stanu. Przecież dostano te ziemie nie tylko na podstawie dobrej woli Stalina – mieszkali na nich Słowianie. Słowianie, których paradoksalnie w Polsce Ludowej zgermanizowano.



Fot. 9. Wilhelmina i Karol Mallkowie z synami; od lewej Ryszard, Janusz, Leopold (1939).

Istniała różnica zdań między moim ojcem a jego bratem Edwardem, który był pastorem metodystycznym w Elku chociaż nie miał uniwersyteckiego wykształcenia teologicznego. Był utalentowanym duszpasterzem, lubianym przez Mazurów. Obaj pojechali w 1944 roku do Lublina, żeby pertraktować z nową władzą w sprawie mazurskiej. Stryj ludził się, że można porozumieć się z Rosjanami w sprawie utworzenia Republiki Mazurskiej. Dziś wiemy, jak bardzo był to nierealny pomysł, zwłaszcza że znamy los mniejszości niemieckiej w Obwodzie Kaliningradzkim. Ci ludzie, w odwecie za działania wojenne, byli w strasznych warunkach przepędzani z miejsca na miejsce. Dochodziło

do kanibalizmu, nie wspomnę o wywózkach na Syberię. Dla Stalina Mazurzy nie przedstawiali żadnej wartości, nawet nie podjąłby rozmów w tej sprawie. Zresztą samo wkroczenie wojsk sowieckich było wstrząsem. Ludzie w panice popełniali samobójstwa, skakali do studni... Były to straszne dni. Ale tego świata już nie ma.

Po II wojnie światowej zgubny był przymus opowiadania się za przynależnością do narodu polskiego. Jeśli ktoś powiedział, że jest Mazurem, to powinno wystarczyć. Mazurzy byli przyzwyczajeni do władzy, więc mogli się zaadoptować w nowej sytuacji, a mazurskość mogła stanowić dla nich pewną ochronę, gdyby ją uznawano. Wystarczyłaby taka deklaracja: „Jestem Mazurem, byłem obywatelem niemieckim, a teraz jestem obywatelem polskim”. A przypadki były różne. Na Mazurskim Uniwersytecie Ludowym ojciec miał słuchaczkę, która powiedziała: „Szanuję Pana, ale czuję się Niemką”. Była to filiponka⁸. Ojciec wiedział, że niczego nie można wprowadzać na siłę.

⁸ Filiponi stanowili odłam religijny staroobrzędowców rosyjskich, czyli tych wyznawców prawosławia, którzy sprzeciwili się reformom religijnym wprowadzonym w latach 1652–58 przez patriarchę Nikona i pozostali przy „starych obrzędach”.

Wprawdzie były podejmowane próby zasymilowania mazurskości przez niektóre osoby, nawet instytucje. Kilku Mazurów z Działdowszczyzny pełniło funkcje starosty czy wojewody, ale ogólna świadomość społeczna, zwłaszcza Kurpiów, pozostawała daleko w tyle. Cóż z tego, że Mazur otrzymał od nowej władzy rolę, jeśli nowy sąsiad, osadnik, wkrótce mu ją odebrał, mówiąc: luter, Szwab. Chyba więcej zrozumienia dla tej sytuacji mieli kresowiaczy, którzy też zostali pozbawieni swoich domostw.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że Ojciec mógł wziąć odwet po 1945 roku, ale zaniechał.

To wynikało z jego postawy etycznej. Podam może jeden przykład. Mojego stryja Niemcy rozstrzelali... w roku 1939, gdy niszczonego inteligencję, nie tylko nauczycieli. Zapytano go, czy chce wyjechać do Generalnej Guberni. Zgodził się i został przeniesiony do Działdowa, a tam Selbstschutz wykonywał wyroki. Wśród wykonujących wyroki byli też Mazurzy, nieraz przymuszani przez nadzorców. Grożono, że ci, którzy odmówią zastrzelenia skazanego, sami zostaną rozstrzelani. Jeden z obecnych przy egzekucji stryja, chyba dręczony wyrzutami sumienia, opowiedział o całej sytuacji mojej babci. Wkrótce kuzyn odnalazł w Berlinie ślad człowieka, który zastrzelił stryja. Działała Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, więc można było to zgłosić. Jednak rodzice nie zdecydowali się na ten krok. Byłem zresztą z ojcem jako chłopiec na późnym pogrzebie stryja w Działdowie.

Co Pan dziś, z perspektywy czasu, myśli o działalności Ojca, o jego determinacji, o jego krzywdzie?

Ojciec był działaczem polskim, który rozumiał mazurską odrębność. Próbował porozumieć się z powojennym rządem, ale traktowany był w najlepszym wypadku jako postać historyczna. Widział i wiedział, że przegrał. W swojej książce też o tym napisałem.

Od dzieciństwa był pan świadkiem mazurskiej historii i też ta historia na zawsze odcisnęła piętno na Pana najbliższych.

Brat, jak już wspomniałem, był pastorem. Wyemigrował, bo Urząd Bezpieczeństwa go męczył.

Jak wielu innych pastorów ewangelickich...

Księża katoliccy mieli jeszcze jakąś osłonę, natomiast protestanci byli w sytuacji fatalnej. Wystarczy przeczytać pamiętniki stryja, Edwarda Małłki,

*Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*⁹. On pisze, w jaki sposób go dręczono. Drugą przyczyną emigracji pastorów były niewątpliwie wyjazdy parafian...



Fot. 10. Od lewej: Janusz, Ryszard, Leopold Mallkowie w Krutyni w roku 1993.

Parę lat temu, gdy brat jeszcze żył, byliśmy razem w Ukcie. Kościół jest naturalnie katolicki dzisiaj. W części budynków działa ośrodek dla niepełnosprawnych. To in plus. Resztki Mazurów skupia miejscowa kaplica i parafia ewangelicka w Mikołajkach.

Jestem historykiem, należę do emigracji albo, jak mówią, do ziomkostwa toruńskiego, staram się spoglądać z dystansem, ale dla mojego ojca zmiany były bardzo trudne. Pojechał do swojej rodzinnej wsi, do Brodowa i nikogo już tam nie znalazł.

*Czy udało się utrzymać jakieś kontakty z tą częścią Mazurów, która została wynie-
żona na Syberię?*

Niektórzy wrócili. Na Mazurskim Uniwersytecie Ludowym ojciec miał takich słuchaczy.

⁹ E. Małek, *Gdzie jest moja Ojczyzna? Wspomnienia*, Colloquia Orientalia Bialostocensia, t. XV, Białystok–Ełk 2016. Zob. https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/113-20/5391/1/Edward_Mallek_Gdzie_jest_moja_ojczyzna_Wspomnienia.pdf

Warto tu wspomnieć tzw. Słowińców, czyli Kaszubów-ewangelików. Też ich nie ma. Pozostał tylko skansen w Klukach, który jest chyba znikomą rekompensatą za tragedię tej społeczności.

Po 1945 roku zostało w Polsce ponad 100 tysięcy Mazurów, a dziś ten lud zanika. Na naszych oczach. Wyjechała też duża część Warmiaków, nawet katolicyzm ich nie uratował.

W wywiadzie dla „Gazety Sztumskiej”, przed 10 laty, mówił Pan, że dziś mamy Mazury bez Mazurów i historyk jest wobec tego faktu bezradny. Proszę powiedzieć, czy rzeczywiście można w tej sprawie wyciszyć emocje?

Trudno jest wyeliminować emocje, gdy się patrzy na klęskę społeczności. Przecież ci, którzy wyjechali do Niemiec nie czuli się tam dobrze, raczej ukrywali swoje pochodzenie.

Tam też byli gorsi?

W pewnym sensie. Sytuacja ekonomiczna jest ważna, ale to nie wszystko. Chyba dopiero kolejne pokolenie tych emigrantów zapomni o dziwnej ojczyźnie.

Laudację z okazji przyznania Panu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego wygłosił ksiądz profesor Alojzy Szorc, a niedawno otrzymał Pan Nagrodę imienia biskupa Ignacego Krasickiego. Dobrze się Pan czuje w duchu ekumenicznym?

Tak, bo tu chodzi o relacje między ludźmi, nawet przyjaźnie. Ksiądz Alojzego poznałem, kiedy byłem recenzentem jego pracy habilitacyjnej. Zlecił mi to profesor Karol Górski. Recenzję napisałem dość ostrą, wytknąłem braki pewnych pozycji źródłowych, przede wszystkim niemieckich. Odwoziłem go wówczas na dworzec i zauważyłem, że był poruszony, ale potem uwagi uwzględnił, książkę przepracował. Szanowaliśmy się i dobrze się dogadywaliśmy. Ceniłem go jako wydawcę źródeł – wydał listy Hozjusza. Niedawno w Olsztynie odwiedziłem jego grób.

Staralem się budować mosty z obozem katolickim, może również dlatego, że byłem blisko Karola Górskiego. Wspominałem już, że profesor Górski, żarliwy katolik, bardzo przeżył II Sobór Watykański. Mieliśmy kiedyś sesję w naszym ewangelickim kościele. Było bardzo zimno, a Profesor jednak przyszedł. Być może zdawał sobie sprawę z tego, że w wielu okresach protestanci byli traktowani krzywdząco.

Przyznam, że z wiekiem stawałem się coraz bardziej „ekumeniczny”. Młody człowiek bywa jednak trochę wojowniczy. Jest w naszym etosie protestanckim dążenie do pojednania, zrozumienia. I takie postawy są też wśród katolików, w Klubie Inteligencji Katolickiej mamy duże zrozumienie.



Fot. 11. Uroczystość ponownego pochówku Anny Wazówny, Toruń 1995 r.; od lewej: prof. Marian Kallas, prof. Janusz Malłek, dr Alicja Saar-Kozłowska.

W laudacji wygłoszonej przez ks. prof. Alojzego Szorca, o której już wspominałam, jest takie zdanie: „Laureat posiada charyzmat, który w podzielonym, skłóconym świecie pomaga budować przyjaźń i zaufanie przynajmniej na płaszczyźnie ludzi oddanych nauce”. Okazuje się więc, że naukowiec może być autorytetem moralnym. A w związku z tym prosiłabym Pana Profesora o receptę dla Polaków Anno Domini 2020.

To bardzo trudne zadanie.

Wróćę znów do wspomnień. W tak zwanych czasach minionych nie byłem członkiem partii. Mój szef był i to mnie chroniło. Widziałem potem postawy tych kolegów, którzy chcieli lub musieli być członkami partii – oni się wstydzili. Pamiętam rozczarowanie młodych ludzi, gdy ujawniono zbrodnie stalinowskie. Rozczarowanie ludzi oszukanych, którzy dali się omamić propagandzie. Jeden z moich kolegów, wcześniej I sekretarz partii, stał się szczerze zaangażowanym działaczem Solidarności. Więc ludzie zmieniają poglądy, czynią rachunek sumienia, zauważają, kiedy błędzili.

Epoki przechodzą przez ludzi i zawsze jest nadzieja, nawet na zmianę jakichś postaw ortodoksyjnych.

Czyli czynimy, co możemy, w zgodzie z sumieniem i liczymy na zmianę, która nastąpi w ramach procesów dziejowych?

I taka jest moja myśl.

Bardzo dziękuję, Panie Profesorze. Proszę przyjąć życzenia dobrego zdrowia, niezmiennego zapału badawczego i twórczych sił. Czekamy na kolejne publikacje!

Rozmawiała Maria Drapella